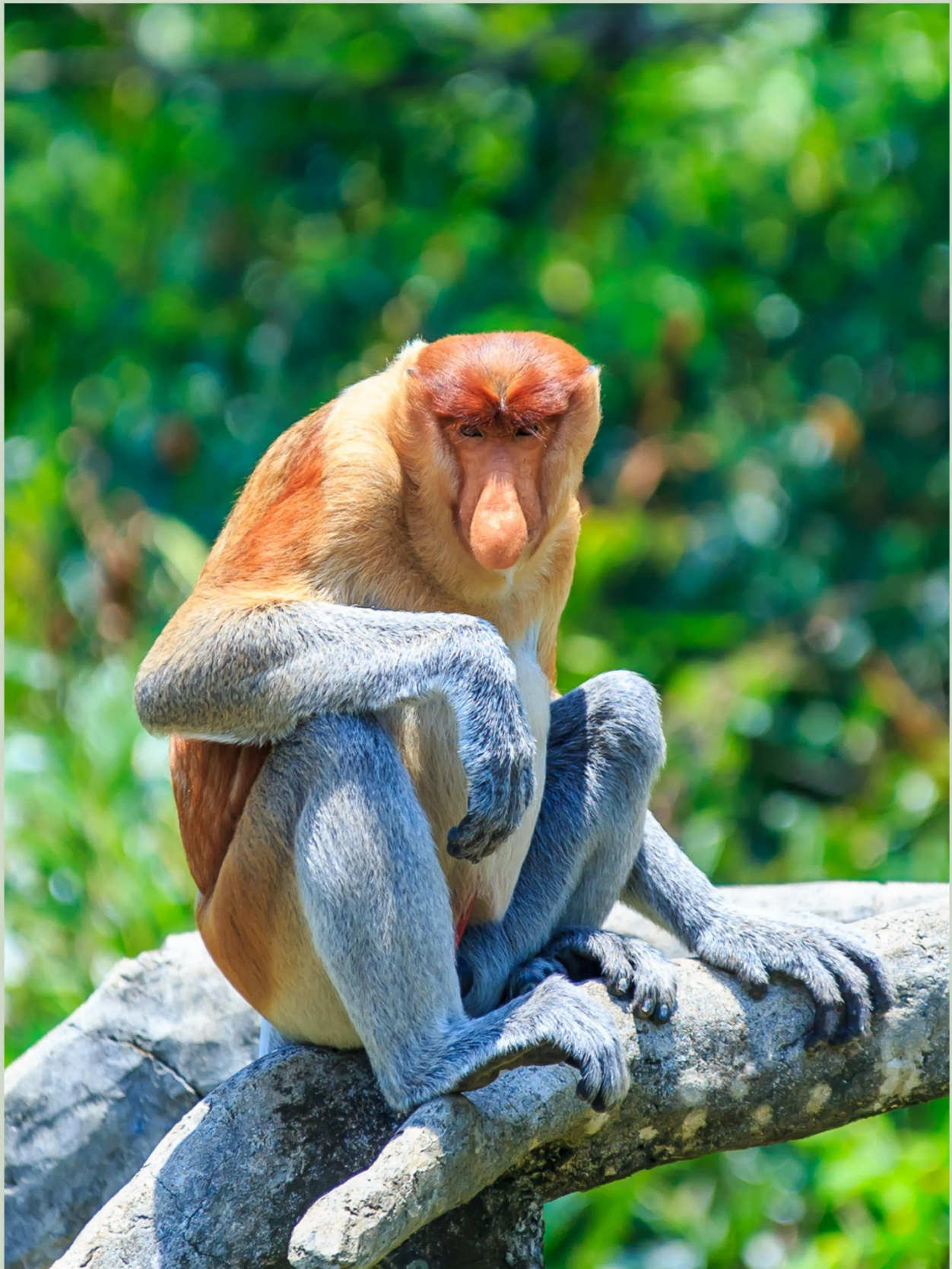


# Niesamowita Azja Południowo-Wschodnia

Brunei



Krzysztof Danielewicz



Security  
in practice



## Brunei - małe i tajemnicze państwo położone na wyspie Borneo

Sierpień 2024 r.

Planując loty do Singapuru, Malezji i Indonezji, podczas przeglądania mapy, mój wzrok natrafił przypadkiem na niewielkie państwo Brunei – pomyślałem, że warto byłoby skorzystać z okazji i zajrzeć, co ciekawego kryje w sobie ten niewielki kraj położony na wyspie Borneo. Miałem nie lada zagwozdkę, ile dni przeznaczyć na podróżowanie po Brunei, przeczytałem wiele opinii w sieci, które wskazywały, że jest to nudny kraj i jeden dzień zdecydowanie wystarczy. Jestem znany z braku zaufania do opinii ludzi, którzy często oczekują „turystycznych atrakcji i fanfar”, a ja szukam raczej autentyczności i lokalnego piękna – postanowiłem więc spędzić w Brunei trzy dni. Jeden dzień chciałem poświęcić na zwiedzanie stolicy Bandar Seri Begawan (dalej BSB), a pozostałe dwa wykorzystać na eksplorowanie terenów poza nią, przy pomocy lokalnych przewodników. O samym kraju wiedziałem niewiele nic prócz faktów, że rządzi nim Sułtan, znajdują się w nim złoża ropy naftowej oraz brunejskie dolary (BND) są w kursie 1:1 z dolarem singapurskim, którym notabene można tutaj płacić. Na dzień 3 stycznia 2025 1 dolar brunejski kosztuje 3,03 złote.



Mapa 1. Położenie Brunei na wyspie Borneo.



Państwo Brunei Darussalam, jak brzmi pełna nazwa, leży na powierzchni 5765 km<sup>2</sup> i (dla porównania – województwo opolskie, które stanowi 3% powierzchni Polski zajmuje 9412 km<sup>2</sup>), jest zamieszkiwana przez 450 000 ludzi, graniczy z częścią Malezji leżącą na Borneo, ma linię brzegową nad Morzem Południowochińskim. Stolica zajmuje powierzchnię 100,36 km<sup>2</sup>, mieszka w niej niespełna 160.000 ludzi (dla porównania – powierzchnia Torunia to 115,7 km<sup>2</sup>, a liczba mieszkańców to około 182 tysiące).

Terytorium kraju obejmuje dwie osobne części (enklawy), otoczone terytorium malezyjskiego stanu Sarawak. Obydwie enklawy Brunei łączy most Sultan Haji Omar 'Ali Saifuddien (nazywany też mostem Temburong), który rozciąga się nad Zatoką Brunei i ma długość 30 kilometrów, co czyni go najdłuższym mostem w Azji Południowo-Wschodniej.

Brunei jest jednym w większych producentów ropy naftowej w Azji Południowo-Wschodniej, a wydobycie surowca na rynek krajowy oraz eksport stanowią najważniejszą siłę napędową gospodarki. Ropę i gaz odkryto w połowie XX wieku, co przyczyniło się do szybkiego rozwoju kraju, wtedy też zaczęły powstawać coraz to i bardziej nowoczesne budynki, drogi oraz miasta. Złóża ropy szacowane są jako wystarczające na przynajmniej kilkadziesiąt lat. Kraj wydobywa również gaz ziemny, zaspakajający potrzeby mieszkańców, jest także eksportowany – głównym odbiorcą jest Japonia, korzystają także inne państwa azjatyckie. Złóża drogocennych kopalin wydobywane są przez państwową spółkę Brunei Shell Petroleum (największy podmiot gospodarczy w kraju), Total E&P Borneo BV oraz konsorcja australijskie i kanadyjskie. Wydobycie jednak spada, co spowodowane jest ekonomizacją eksploatacji złóż i ograniczaniem marnotrawstwa drogocennych złóż. Zyski z przemysłu kopalin energetycznych stanowią niemal 90% budżetu tego niewielkiego państwa.

Brunei jest monarchią islamską, w której głową państwa i szefem rządu jest Sułtan – cała władza skupiona jest w rękach człowieka, któremu (z tego co zaobserwowałem) zależy na tutaj i teraz, ale również przyszłości kraju. Brunejczycy nie płacą podatków, mają darmową służbę zdrowia, bezpłatne szkoły do średniej włącznie. W związku z faktem, że w państwie jest dość ścisła kontrola, zagraniczni inwestorzy niekoniecznie chętnie inwestują tutaj swoje środki, choć z wieloma wyjątkami. W związku z zaostrzeniem prawa szariatu, które stosowane jest względem wszystkich muzułmanów i wyznawców innych religii (w tym każdego inwestora), zależności od sytuacji na rynku ropy i gazu ziemnego oraz relacji z Japonią (główny odbiorca ropy i gazu z Brunei) – mówi się, że świetnie hulająca sytuacja finansowa Brunei może z czasem zacząć trzeszczeć w podstawach.



Bezrobocie jest tutaj na niskim poziomie, standard życia plasuje się wysoko – bardzo dobrze rozwinięta jest służba zdrowia, sektor finansowy, szeroko inwestuje się w infrastrukturę transportową, telekomunikacyjną oraz mieszkaniową.

Z lotniska w Kuala Lumpur (po samodzielnym nadaniu bagażu rejestrowanego, co zrobiłem z nadzieją, że zobaczę walizkę na taśmie w Brunei - po odprawieniu bagażu nie otrzymuje się żadnego potwierdzenia) wyruszyłem o czasie, a około 15.30 lądowałem na międzynarodowym porcie lotniczym w stolicy Brunei.



### Zdjęcie nr 1

Jedyne, międzynarodowe lotnisko w Brunei jest wielkości lotniska w Poznaniu, po wyjściu z samolotu szybko przeszedłem kontrolę, zyskując kolejną pieczętkę w paszporcie i mogłem w pełni poczuć, że jestem na nowym dla mnie terenie! Wymieniłem walutę, zakupiłem lokalną kartę SIM i taksówką udałem się do hotelu – przejazd kosztował mnie 20 BND. Zakwaterowanie w hotelu było ekspresowe, odświeżyłem się, zostawiłem bagaże i byłem w pełnej gotowości do rozpoczęcia obchodu okolicy, a że byłem w samym stolicy – wszystko było w zasięgu moich nóg. Schodząc do recepcji, zapytałem o możliwość wynajmu auta



z kierowcą na cały dzień – chciałem wyjechać poza miasto – recepcjonista obiecał rozeznac dla mnie możliwości oraz oddzwonić. Nie minęło nawet 15 minut od mojego wyjścia z hotelu, a recepcjonista dzwonił z ofertą wycieczki do parku narodowego za 175 BND (około 530 złotych), co uznałem za dość drogą propozycję. Wcześniej rozeznałem ceny najmu aut z kierowcami i oscylowały one w okolicy 20 BDN za godzinę, finalnie – dołączyłem do grupy wycieczkowej, która jutro miała udać się do Parku Narodowego Ulu Temburong, a wyniosło mnie to 40 dolarów za godzinę. Byłem zapisany na wycieczkę, o której niewiele wiedziałem, ale niedługo później otrzymałem na telefon ogólny harmonogram, który zapowiadał się dość ciekawie.

Skierowałem kroki w rejon, w którym znajduje się słynny meczet Sułtana Omara Ali Saifuddiena, który od mojego hotelu dzielił kwadrans marszu. Byłem jedynym spacerującym chodnikiem – w Brunei mało kto porusza się pieszo, wszyscy jeżdżą autami, parkują pod docelowym miejscem i udają się kilkadziesiąt metrów pieszo.

Meczet został ukończony w 1958 roku, wybudowano go na cześć 28. Sułtana - Omara Ali ego Saifuddiena III – ojca obecnie władającego państwem. Budynek otacza sztuczna laguna, stworzona z rzeki Brunei Kampong Ayer, w wodach której odbija się meczet, dając bajkowe wrażenia dla odwiedzających.

Wnętrza są bogato urządzone, włączając włoski marmur, którym wyłożone są podłogi i ściany, ze sklepień zwisają i migoczą magicznie angielskie żyrandole. Kolana i stopy modlących się spoczywają na najlepszych dywanach, tkanych ręcznie w Arabii Saudyjskiej – słowem – na bogato! Do meczetu, celem modlitwy może jednorazowo wejść 3500 mężczyzn, w sali obok może modlić się 1200 kobiet, jest też kilka mniejszych sal – łącznie w meczecie zmieści się około sześć tysięcy osób.

Meczet jest otwarty dla zwiedzających niebędących muzułmanami od soboty do czwartku, w piątki wyznawcy innych religii nie mają do niego wstępu. Warto pamiętać, że chcąc wejść do meczetu, należy być odpowiednio ubranym - kobiety dostają przed wejściem skromny, granatowo-czarny strój, okrywający ciało od szyi do kostek, mężczyznom wydaje się długie, ciemne peleryny. Do świątyni wchodzi się po pięknej kładce, unoszącej się nad wodami laguny, co wprowadza każdego odwiedzającego w naprawdę podniosłą aurę miejsca.

Po chwilowej przechadzce widać było, że w stolicy panuje porządek i ład, który przypomina mi Singapur. Wokół mnie było czysto, wszystko miało swoje miejsce, było równe i estetyczne,



co wskazywało na to, że Brunei może się okazać naprawdę ciekawym miejscem, które bardzo różni się od tego, czego zastałem w Malezji, gdzie tylko Kuala Lumpur było w miarę czyste i poukładane.









### Zdjęcia nr 2-5

Obok meczetu znajduje się przepiękny park, a także galeria handlowa. Spacerując, zauważyłem wiele sporych rozmiarów namiotów, które były rozbite przy parku – okazało się, że w ich środku znajdowały się niezliczone stoiska z lokalną kuchnią, której można było skosztować, ale także wszelkiej maści wyrobami rzemieślniczymi (i nie tylko), a miało to związek z obchodami urodzin Sułtana (festiwal trwał już od dwóch tygodni). Wokół namiotów kręciły się rzesze ludzi, którzy robili zakupy, jedli bądź spędzali wspólnie czas w parku, siedząc na trawie czy kocykach. Wokół było zaparkowanych tysiące aut, którymi Brunejczycy przybyli do parku.

Turystów było jak na lekarstwo, co niezmiernie mnie cieszyło, a wokół przebywali spokojni, uśmiechnięci i radośni ludzie. Nikt nie zwracał na mnie większej uwagi, mogłem z rozkoszą wszystko obserwować i robić zdjęcia. Atmosfera była wspaniała – noc, miękkie, ciepłe światło i głośne modlitwy, które docierały z meczetu, zapach lokalnych przypraw i gwar rozmów – coś wspaniałego! Brunei przywitało mnie naprawdę zacie, nie mogłem się doczekać jutra! Miałem nadzieję na dużą porcję wspaniałej natury.

















Zdjęcia nr 6-13

Po dotarciu do hotelu, musiałem przygotować się na jutrzejszą wycieczkę – otrzymałem listę rzeczy, w które powinienem być zaopatrzony. Na podstawie listy domyślałem się, że będziemy blisko wody – według rozpiski harmonogramu mieliśmy dojechać do rzeki, następnie poruszać się z jej biegiem, następnie czekał nas marsz przez dżunglę i wspinaczka, a na końcu w planie była kąpiel pod wodospadem – niesamowite!

Po śniadaniu, około 8.00 pod hotel przyjechał bus, w którym siedziało już jedno małżeństwo, wszyscy udaliśmy się pod ekskluzywny hotel Intercontinental, gdzie wsiadły kolejne dwie osoby. Jak się później okazało, było to przesympatyczne małżeństwo Francuzów - Jusuf pochodził z Algierii, a jego żona była Pakistanką z Kaszmiru, obydwójce byli muzułmanami. Co ciekawe, Jusuf robił interesy w Polsce, kupując mięso z kurczaków halal (od Jusufa dowiedziałem się, że Polska jest największym eksporterem takiego mięsa na świecie!).

Pod pojęciem „halal” kryje się wszystko na co pozwala i akceptuje szariat (prawo islamskie), po przeciwnej stronie jest „haram”, czyli rzeczy niedopuszczalne lub niezgodne z prawem islamu. Zgodnie z szariatem, muzułmanie powinni spożywać produkty, pić napoje i korzystać z ziół i przypraw, które pozytywnie wpłyną na ich zdrowie, rozwój, zachowanie i samopoczucie. Żywność halal posiada stosowne certyfikaty, które potwierdzają jakość i bezpieczne warunki produkcji, m.in. brak zarazków, zanieczyszczeń, ale także surowe standardy dystrybucji. Żeby mięso było halal, kurczaki są ubijane rytualnie (poprzez poderżnięcie gardła), uboju dokonuje rzeźnik rytualny, który musi być osobą wierzącą (chrześcijanin, żyd, muzułmanin), a przed dokonaniem uboju należy wypowiedzieć słowa np. muzułmanin wypowiada słowa “Bismillah” (“W imię Allaha”) i “Allah akbar” (“Bóg jest wielki”) i skierować głowę zwierzęcia w stronę Mekki. W Polsce istnieją trzy instytucje wydające certyfikaty i świadectwa halal - Muzułmański Związek Religijny w Rzeczypospolitej Polskiej, Liga Muzułmańska w Rzeczypospolitej Polskiej oraz Polski Instytut Halal.

Przez ponad godzinę jechaliśmy busem, a rozmowa z Jusufem i jego żoną toczyła się tak żywo, że nie miałem zbyt wielu okazji do rozglądania się wokół, a naprawdę było co podziwiać! Przejedźdźaliśmy na mniejszą enklawę Brunei, miałem więc okazję jechać mostem Temburong, oddanym w 2020 roku, który znacznie skrócił czas podróży między oddzielnym Malezją terytorium Brunei. Nim most powstał (budowa rozpoczęła się w połowie 2014 roku), przejazd z jednej części Brunei do drugiej wymagał dwukrotnego przekraczania granicy Brunei-Malezja, co było uciążliwe dla podróżujących.



Kiedy wjechaliśmy w rejon Parku Narodowego Ulu Temburong, nasi przewodnicy przekazali nam lokalnej, pochodzącej z okolic parku przewodniczkę. Nasza grupa powiększyła się o kolejnych czterech podróżników, szeroko uśmiechniętych mężczyzn, którzy urodzili się w RPA, ale teraz mieszkali w Indiach i wyznawali islam. Popłynęliśmy trzema łodziami w głąb parku, a cała podróż rzeką Temburong trwała około 40 minut – w niektórych miejscach musieliśmy zwolnić, ponieważ w wyniku ostatnich opadów deszczu, poziom rzeki był bardzo wysoki.

Park Narodowy Ulu Temburong jest pierwszym parkiem narodowym, który powstał w Brunei (ustanowiono go w 1991 roku, obejmuje teren 550 km<sup>2</sup>). Park określany jest jako „zielony klejnot Brunei”, ze względu na naturalną, wiecznie zieloną dżunglę, którą Sułtan obejmuje skrupulatną ochroną. Przez park przepływają dwie duże rzeki – Temburong i Belalong.







Zdjęcia 14-16



Rejs rzeką przez prawdziwą dżunglę był jednym z moich największych marzeń! Woda na rzece była spokojna, choć nurt dość wartki, a wokół rozpościerał się nizinny las deszczowy – miałem poczucie wolności, a czułem niezmierną radość i wdzięczność! Jusuf opowiadał, że nocują wraz z żoną w hotelu nad morzem, jednak nie korzystają z możliwości kąpieli ze względu na pływające w strefie przybrzeżnej krokodyle – dobrze wiedzieć! Podczas rejsu mijaliśmy w kilku miejscach ładne kompleksy budynków, które wyglądały jak bazy turystyczne czy hotele, miałem refleksję, że pandemia koronawirusa i na nich odcisnęła swoje negatywne piętno. W końcu dopłynęliśmy do miejsca, w którym spotykały się dwie rzeki, gdzie opuszczaliśmy łodzie i musieliśmy zarejestrować się w specjalnej księdze wejść, która znajdowała się w budynku wejściowym do parku.

Po dokonaniu formalności czekała nas wspinaczka po około 1000 schodów, jednym moście wiszącym i potężnej konstrukcji rusztowań, która wznosiła się ponad korony drzew, która okazała się być bardzo niestabilna i lekko stresująca. Stalowa konstrukcja niegdyś służyła tylko naukowcom ze stacji badawczej Kuala Belalong Field Study Centre do obserwacji procesów zachodzących w lesie deszczowym, a później udostępniono ją dla turystów, chcących odwiedzić park. Wchodziliśmy po około 40 metrów w górę, chwilę poruszaliśmy się kładką i... znowu 40 metrów schodów, kładka, a następnie bardzo wysoki tunel do wspięcia się, na którego szczycie był taras, z którego rozpościerał się niesamowicie piękny widok na dżunglę! Weszliśmy tak wysoko, że nie było żadnego elementu, który mógłby przesłonić panoramę – widok był bajkowo fenomenalny – trudno jest go w jakikolwiek sposób opisać! Cała konstrukcja nie była zbyt stabilna, delikatnie się chwiała, co nie wzbudzało zaufania i powodowało szybsze bicie serca, ale uznałem, że skoro wchodzą tam lokalsi, to muszą być pewni jej wytrzymałości. Na samej górze nie mogliśmy być zbyt długo, ponieważ mogły tam przebywać jednocześnie tylko 4 osoby, jednak warto byłoby tam wejść nawet na krótką chwilę.

Z dachu lasu deszczowego, powolnym krokiem zeszliśmy na dół i popłynęliśmy w dół rzeki, do wodospadu, który jednak nie wyglądał jak wodospad – niewielka ilość wody ciurkała z wolna z wysokości około 3 metrów do niewielkiego zbiornika, w którym zanurzyliśmy się po szyje, a nasze stopy podskubywały małe rybki. Woda była naprawdę orzeźwiająca, dała ulgę po męczącej wspinaczce. Na szczęście w dżungli nie było komarów, co w polskich lasach latem jest jak mur beton, a wszyscy wiemy jakim utrapieniem boleśnie gryzące końskie muchy, strzyżaki jelenie czy właśnie chmury komarów. Po kąpieli wróciliśmy na łodzie, a 800 metrów przed końcem rejsu każdy z nas dostał ogromną, nadmuchaną dętkę, do których się wgramoliliśmy i spłynęliśmy wraz z nurtem rzeki do końca trasy. Woda była ciepła, w wokół

nas rósł wiekowy las deszczowy wyspy Borneo... doświadczenie było wspaniałe, każdy poczuł swoje wewnętrzne dziecko, a ja przeniosłem się myślami do czasów dzieciństwa na wsi!















































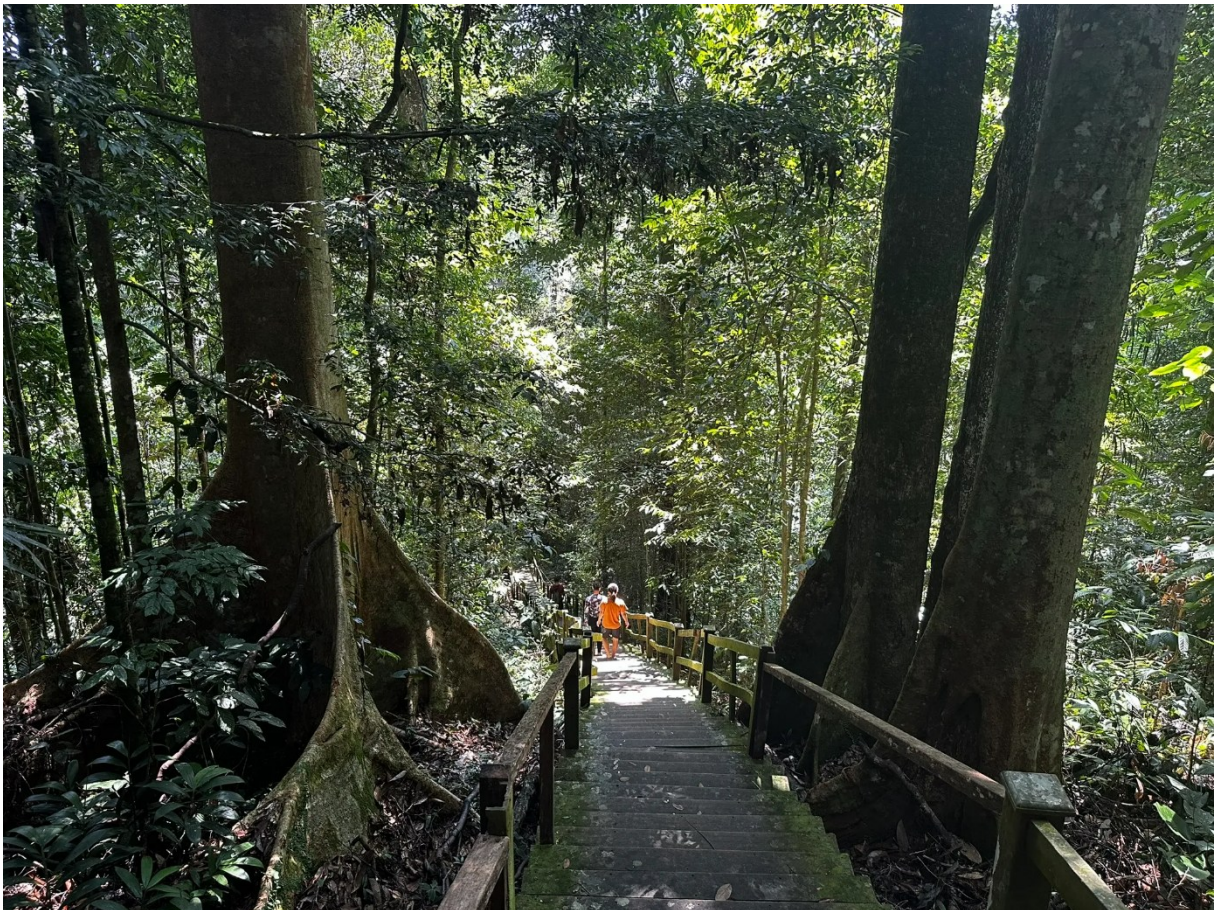
































































### **Zdjęcie 17-62**

Po dopłynięciu do bazy, wzięliśmy prysznic, zmieniliśmy odzież na suchą i zjedliśmy pyszny obiad, przegryzając go durianem, po czym wsiedliśmy do auta i ruszyliśmy w podróż powrotną. Jechało się bardzo przyjemnie, Jusuf z żoną drzemali, a ja poznałem kolejnego przewodnika, z którym umówiłem się na pływanie łodzią wokół domów na wodzie w wiosce Kampung Ayer, które nazywana jest Wenecją Orientu, choć wielu wskazuje, że jest to określenie na wyrost – zobaczymy!

Po pożegnaniu z moimi nowo poznanymi kolegami i koleżanką, udałem się do hotelu na krótki odpoczynek, ponieważ chciałem później udać się do centrum miasta, gdzie miał dziś być koncert muzyki z lat 80. Mam wrażenie, że całe centrum miasta to spójny kompleks festiwalowy – można tutaj zjeść, zrobić zakupy i na każdym kroku posłuchać muzyki na żywo, co miało związek z obchodami 78 urodzin Sułtana Hassanala Bolkiaha Mu'izzadina Waddaulaha. Wchodząc do centrum czuć było rodzinną, wesołą atmosferę. Koncertu słuchałem przez około 30 minut, nie były to do końca moje klimaty, udałem się więc do pokoju, żeby w spokoju spisać doświadczenia z ostatnich dwóch dni, które były fantastyczne – spędziłem je



wszakże głównie na łonie natury i w bardzo pięknym mieście, poznałem wspaniałych ludzi z różnych zakątków świata. Każdej osobie, która z założenia nienawidzi muzułmanów życzę, żeby spotkała na swojej drodze tylu uprzejmych chrześcijan, ilu ja spotykam wyznawców Allaha – będzie jej/jemu niezmiernie trudno, a nastawienie i tak się pewnie nie zmieni... Stereotypy i uprzedzenia są naprawdę silne i bardzo niesprawiedliwe.











Zdjęcia nr 63-68



Kolejny dzień rozpocząłem trochę później – zjadłem śniadanie, wypłem pyszną kawę i udałem się na spacer do dzielnicy Bandar Seri Begawan, znajdującej się około 700 metrów od mojego hotelu. Drewniane domostwa miały pod sobą rzekę Sungai Brunei i zostały zbudowane na betonowych słupach, a dzielnica była raczej zaniedbana – mało który dom był zadbane, po niektórych zostały tylko betonowe słupy – wyglądało, że miejsce powoli umiera. Domy, szkoła, sklepy i niewielki, ale bardzo ładny meczet, połączone były siecią drewnianych kładek, ulokowanych na betonowych podstawach. Kiedy woda z rzeki odpływała, w mule żwawo grasowały tysiące niewielkich krabów i inne skorupiaków, na które z godnością i precyzją polowały czaple białe – miały prawdziwą ucztę! Zauważyłem, że po rzecznych mule oraz po blaszanych dachach budynków biegają grupy makaków, które są tutaj chyba bardzo pospolitym gatunkiem małp. Z nieba zaczął siąpić deszcz, co zmusiło mnie do powrotu w kierunku hotelu.











































### Zdjęcia 69-87

Deszcz nie trwał długo, szybko się przejaśniło i mogłem eksplorować miasto w świetle dnia, uwieczniając je jednocześnie w obiektywie aparatu. Wędrując uliczkami, szukałem kantoru



bądź miejsca, w którym wymienię dolary amerykańskie na brunejskie – usilnie poszukiwałem banknotu o nominale 20 BND, który był bardzo rzadki. Od wielu lat kolekcjonuję banknoty i monety z krajów całego świata, w Brunei skompletowałem już każdy banknot, oprócz dwudziestodolarówki! Wstępowałem więc do różnych sklepów i pytałem czy w kasie nie czeka czasem na mnie brakujący okaz – po kilku nieudanych próbach znalazłem Panią, która miała 20 BND. Kobieta początkowo chciała odsprzedać mi 20-dolarowy banknot za... 40 dolarów! Emocjonujące negocjacje zakończyły się na 30 BND za brakujący do mojej kolekcji egzemplarz 20 dolarowy, ale nikt nie obiecywał, że los kolekcjonera jest tani. Podczas wizyty w miejskiej toalecie, spotkałem dwóch Brunejczyków, którzy zaproponowali mi pływanie łodzią po rzece w cenie 20 BND za godzinę, a jako że jeden z nich pobierał opłaty za korzystanie z WC, zagałem go od razu o najmniejsze nominały monet – podarował mi pięć i jednocentówki. Byłem bardzo zadowolony z moich zdobyczy i dałem im po 1 dolarze, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Rejs łódką po rzece niespecjalnie mnie interesował, grzecznie odmówiłam, a mężczyźni nie nalegali.







































### Zdjęcia 88-107

Przed 17.00 udałem się w kierunku centralnego meczetu, gdzie czekał umówiony wczoraj przewodnik - Mel, któremu towarzyszyła jedna Holenderka, Tamara. Mieli do nas dołączyć jeszcze dwaj mężczyźni – Hiszpan i Amerykanin, którzy nie pojawili się o wyznaczonej godzinie, poszliśmy na nabrzeże we trójkę i wsiedliśmy do łodzi. Popłynęliśmy na południe, zobaczyć naturalne lasy mangrowe i żyjące w nich zagrożone wyginięciem nosacze sundajskie, które w Polsce są bohaterami licznych memów. Samce nosaczów mają imponującej wielkości nos, który wygląda jak lekko napełniony wodą, spłaszczony balon – im większy nos samca, tym łatwiej jest nawoływać potencjalne partnerki i przedłużać później gatunek. Nosacze sundajskie są gatunkiem endemicznym Borneo, co oznacza, że naturalnie nie występuje nigdzie indziej na Ziemi. Nosaczom zagraża głównie człowiek, karczując lasy deszczowe pod uprawy oleju palmowego, co znacznie zmniejsza siedliska gatunku. Drapieżnikami, które polują na memiczne małpy są słonowodne krokodyle, którym udaje się czasem schwytać pływającego rzeką nosacza oraz lamparty. Co ciekawe, popularność memów z nosaczami w roli głównej, przyczyniła się do większej ilości wpłat na konta organizacji zajmujących się ich ochroną.













## Zdjęcia 108-111

Mieliśmy ogromne szczęście – po dopłynięciu w mangrowce zauważyliśmy kilka małych grup nosaczy, które dzięki długim, błoniastym palcom, poruszają się z precyzją i gracją po baldachimie koron drzew. Nosacze są niesamowicie przygotowane przez naturę do prowadzenia nadrzewnego trybu życia i rzadko schodzą na ziemię, gdzie czeka je wiele zagrożeń. Trudno było je wypatrzyć, ale głośno krzyczą, chrząkają i wydają tubalne odgłosy, co ułatwiło nam zlokalizowanie źródła hałasu. Uchwycenie ich w obiektywie aparatu było niestety niemożliwe, było późne popołudnie i światło zachodzącego słońca świeciło nam prosto w twarz. Obserwacja nosaczy przez zwykłych turystów jest możliwa tylko z łodzi, mały żyją w terenie zupełnie niedostępnym do obserwacji z lądu (może to i lepiej, znając czasem niekoniecznie mądre zamiary ludzi). Po około pół godzinie obserwacji wróciliśmy do miasta, gdzie pływaliliśmy w rejonie wodnej wioski Kampung Ayer, później przewodnik zacumował łódź i przechadzaliśmy się po kładkach. Mel pokazał nam wszystkie elementy wioski – posterunek policji, meczety, szkołę, siłownię, sklepy i jednostkę straży pożarnej, która odgrywa tutaj niebagatelną rolę – jeśli którykolwiek z drewnianych domów zajmie się ogniem, pożoga szybko rozprzestrzeniłaby się na pozostałe budynki, a z wioski zostałyby zgliszcze.



Wioska datowana jest na co najmniej 1000 lat, co jednocześnie czyni ją najstarszą na świecie, istniejącą do dziś osadą zbudowaną na drewnianych palach. Podobne wioski były niegdyś prężnie żyjącymi ośrodkami przemysłu złotniczego, tkackiego czy produkcji łodzi, przy czym do dziś ostali się tutaj praktycznie tylko producenci łodzi, tkacze pokazują proces rękodzieła tylko na umówionych wcześniej pokazach.

Mel twierdził, że niegdyś mieszkało tutaj około 30 000 osób, w tym niemal połowa populacji Malajów w Brunei, ale obecnie zostało około 2 tysięcy mieszkańców. Życie wzdłuż rzeki Sungai Brunei zmienia się, wiele drewnianych domostw, budowanych na drewnianych palach popada w ruinę, a mieszkańcy przenoszą się do innych domostw, często również pobudowanych na wodzie (na betonowych podstawach), znacznie nowszych, ale w podobnym stylu. Nowe domy budowane są przez deweloperów, wszystkie budynki wyglądają tak samo, nie wyróżniają się niczym szczególnym. Mielśmy okazję wejść do jednego ze starych domów, którego wewnątrz wyglądało całkiem przyzwoicie i było w nim sporo przestrzeni. Szkoda by było, gdyby to tradycyjne osiedle całkiem zniknęło, jest niewątpliwą ciekawostką, powiewem historii i atrakcją dla turystów. Możliwość wędrowania po lekko chwiejących się kładkach i obserwacja historycznych zabudowań jest naprawdę niesamowitym doświadczeniem.

Żegnając się z Melem ustaliliśmy plan podróży na kolejny dzień, okazało się, że Tamarze podobają się podobne klimaty, zaproponowane więc przez przewodnika propozycje zostały przez nas ochoczo zaakceptowane.























































Zdjęcia 112-140



Zgodnie z planem, o 9.00 Mel przyjechał z sympatycznym kierowcą po mnie, a po drodze zgarnęliśmy Tamarę spod drzwi jej hotelu. Obraliśmy kierunek na południowy-zachód od stolicy, w rejon trzeciego względem wielkości w Brunei miasta Seria, gdzie siedzibę ma Brunei Shell Petroleum (dalej BSP), znajduje się tam także naftoport, w którym cumują jednostki zbiornikowców i tankowców, przyplływających po ropę oraz LNG (wychłodzony do mniej niż  $-162\text{ }^{\circ}\text{C}$  (temperatura wrzenia metanu) gaz ziemny). Seria jest miastem-pomnikiem początków wydobywania ropy naftowej, przez wielu traktowanym jako pomnik przemysłu naftowego, a więc i dobrobytu i rozwoju Brunei.

Po drodze wstąpiliśmy do niewielkiego miasteczka, położonego niedaleko domu, w którym mieszkał Mel, w którym co czwartek otwarty był lokalny rynek, na którym lokalsi mogli sprzedawać swoje produkty. Moją konsternację wywołał fakt, że mimo ogromnej dostępności różnych, większych i mniejszych kolorowych owoców, na żadnym straganie nie mogłem kupić świeżo wyciskanego soku owocowego. Większość napojów, które były oferowane przez sprzedawców, stanowiły mieszanki wody, soku z kartonu, mleka skondensowanego i cukru – mnie takie przetworzone napitki odpychały. Przez czas spędzony w kraju mogłem zauważyć, że Brunejczycy lubią przetworzoną żywność i napoje, co w wielu przypadkach widoczne było w postaci nadwagi.

Tamara i Mel zjedli na rynku śniadanie, wypili kawę i pojechaliśmy dalej. Zbliżając się do Seria, mijaliśmy coraz więcej szybów naftowych, które Mel nazywał osłami, ze względu na specyficzną budowę urządzeń do czerpania ropy ze złoża, przypominających mu głowę uznawanego za uparciucha koniowatego. Wszędzie wokół było bardzo czysto, a mijane części infrastruktury wydobywczej, której właścicielem jest Brunei Shell Petroleum, były nowoczesne i bardzo zadbane. BSP jest również właścicielem lokalnej rafinerii. Po drodze mijaliśmy schludne i zadbane osiedla mieszkaniowe, zajmowane przez pracowników Shella, a także niewielkie lotnisko, które służy m.in. do transferu pracowników i towarów na potrzeby rafinerii. W mieście stał pomnik - składał się ze stalowej konstrukcji i kilkunastu betonowych płyt, na których wymalowane były najważniejsze epizody historyczne przemysłu naftowego w Brunei. Instalacja leżała nad brzegiem Morza Południowochińskiego. W pobliżu pomnika znajdował się również, obecnie nieczynny, pierwszy szyb naftowy z początków XX wieku. Mel pokazał nam również jednostkę wojskową, w której służą słynni na całym świecie, nepalscy Ghurkowie. Co ciekawe, nepalscy żołnierze z 2. batalionu Royal Gurkha Rifles, stacjonują tutaj w ramach garnizonu Brytyjskich Sił Zbrojnych Brunei, na prośbę Jego Wysokości Sultana. Niesamowici



Nepalczycy są jedynym, w pełni zaaklimatyzowanym brytyjskim batalionem, który ma kompetencje do prowadzenia zaawansowanych działań operacyjnych w dżungli.

Obierając kierunek powrotny do BSB, zatrzymaliśmy się na chwilę w sklepie, w którym zaopatrują się pracownicy naftowi, którego półki były wyposażone podobnie do europejskiego poziomu.







































### Zdjęcia nr 141- 157

Wracając zatrzymaliśmy się jeszcze nad niewielkim jeziorkiem, które służy Brunejczykom do organizacji pikników rodzinnych na łonie natury. Podobnie jak w morzu, tak i tutaj nikt nie wchodzi do wody, ze względu na obecność krokodyli – o zagrożeniu stania się posiłkiem informują stosowne tablice ustawione wokół jeziora. Około 14.00 byliśmy w stolicy, Mel zaproponował nam zjedzenie obiadu w zaprzyjaźnionej restauracji zlokalizowanej w wodnej wiosce. Mieliśmy okazję, wspólnie z Tamarą, spróbować lokalnego przysmaku – ambaje. Danie podaje się na dużym talerzu, w którym znajduje się coś na wzór naszego gęstego kisielu, do którego podawane są różne sosy, pasty przystawki mięsne i warzywa. Jedząc, urywa się kawałek ciągnącej masy, macza w sosie i wkłada do ust. Całość mi smakowała, szczególnie sos durian-mango.

Po obiedzie i kawie, pojechaliśmy do centrum taksówką i się pożegnaliśmy – każdy udał się w obranym przez siebie kierunku. Powłóczyłem się jeszcze po mieście, robiąc zdjęcia, zatrzymałem się w sieciowej kawiarni Coffee Bean na moje ulubione podwójne espresso. Kiedy jednak otworzyłem drzwi kawiarni, wiedziałem, że czeka mnie powrót do przeziębienia,



którego nabawiłem się z Malezji. Różnica temperatur między lokalem a zewnątrz była tak duża, że mój organizm zwariował. W kawiarni było bardzo zimno, ja byłem lekko spocony, więc wieczorem i w nocy odchorowałem, na szczęście piłem dużo herbaty z końską dawką imbiru, wziąłem także leki przeciwzapalnych i szybko się pozbierałem. Po południu bardzo się rozpadało, ulewny deszcz przeciągnął się na większość nocy, jednak wszystko zmieniło się rano – było pogodnie i przyjemnie.

Po zjedzeniu śniadania spakowałem się, zdałem pokój i wyszedłem na spotkanie z Tamarą, z którą umówiłem się o 10.00 przed meczetem. Od razu zauważyłem, że poziom wody w rzece znacznie się podniósł. Mieliśmy w planie z Tamarą wynająć samodzielnie łódź i popłynąć na mangrowce, aby zobaczyć nosacze ponownie. Kiedy przyjechałem do Brunei, miałem wrażenie, że bardzo ciężko tutaj o usługi dla turystów, jednak po trzech dniach wiedziałem, że nie trzeba nic specjalnego robić - starczy pochodzić nad brzegiem rzeki, a właściciele łodzi sami się zgłoszą z ofertą. Kiedy tylko pojawiliśmy się na brzegu rzeki, podszedł jakiś jegomość i zapytał czy jesteśmy zainteresowani rejssem do lasu mangrowego, aby zobaczyć nosacze. Znałem ceny podobnych usług, więc gdy jegomość rzucił, że chce 50 BND za godzinę – rozbawiło mnie to, bo łódź ze sternikiem można wynająć za 20 dolarów. Okazało się, że Brunejczyk nie posiadał łodzi – był tylko naganiaczem, a jeśli już znalazł jakiegoś „frajera” dzwonił po właściciela łodzi i zgarniał prowizję. Jako że zapłaciłem frycove pierwszego dnia, dziś byłem cwany i nie dałem się naciągnąć na taki wybieg. Po chwili podpłynął do nas młody chłopak, który zaoferował swoje usługi za 30 BND za godzinę, jednak po dynamicznych, choć krótkich negocjacjach zapłaciliśmy mu 45 dolarów za 2 godziny rejsu.

Rejs był bardzo przyjemny, mieliśmy świetne światło i piękne widoki. W dwóch lokalizacjach spotkaliśmy grupy nosaczy, które zapozowały przed naszymi obiektywami. Popłynęliśmy dalej niż z Melem, a nasz sternik powiedział, że ze względu na ilość krokodyli na tym odcinku, lokalsi nie zbliżają się nawet do wody, o pływaniu w niej nie wspominając. Nie minęło 5 minut, kiedy zauważyłem ogromny łeb krokodyla, dryfującego na powierzchni wody. Gad, zaburzając się w wodzie, machnął na pożegnanie okazałych rozmiarów ogonem – nawet z daleka poczułem respekt przed władcą tutejszych wód. Po chwili zobaczyliśmy kolejnego, tym razem mniejszego osobnika.





































### Zdjęcia 158-172

Wracając do miasta mineliśmy Mela, który płynął z polską turystką, o której wcześniej wspominała mi Tamara. Kobieta miała spotkać ją w borneańskiej części Malezji, jakiś czas wcześniej. Kiedy wysiadaliśmy z łodzi, dostałem wiadomość od Mela, który proponował wspólny obiad. Nie minęła chwila, jak podpłynęła do nas wodna taksówka, która przetransportowała nas do Mela i Kasi. Poszliśmy do lokalnej restauracji, a Katarzyna



opowiedziała nam, że jest lekarką i mieszka na stałe w Madrycie, choć od dwóch lat jest w podróży, a jej domem jest świat, który ma wokół siebie. Kiedy spożywaliliśmy posiłek, rozpadało się na całego, nie mieliśmy więc szans na ponowny spacer po wodnej wiosce.

Kiedy deszcz trochę osłabł, poszliśmy jeszcze na kawę do centrum, gdzie Mel i Tamara nas opuścili – Holenderka udawała się na lotnisko. Kiedy popijaliśmy z Kasią aromatyczną kawę, podszedł do nas przemiły Pan, który słyszał, że rozmawiamy po polsku. Okazało się, że Pan Marek jest emerytowanym prawnikiem z Wiednia, który w swoim życiu zwiedził już 137 państw – niesamowite! Pan Marek twierdził, że istnieje Polak, który był w każdym państwie świata, jestem ciekaw czy to prawda. Kiedy ucinaliśmy sobie miłą pogawędkę w ojczystym języku zauważyłem, że młody mężczyzna, siedzący przy stoliku obok, reaguje żywo na polski język. Zapytałem go czy jest Polakiem i... okazał się być studentem piątego roku medycyny z Lublina, skąd akurat pochodził też Pan Marek. Wyobrażacie sobie trzech Polaków i Polkę, spotykających się przypadkowo w brunejskiej kawiarni? Jeszcze parę dni temu myślałem, że nikogo z Polski tutaj nie spotkam, a tu taka niespodzianka! Po kawce pożegnaliśmy Kasię, a wraz z Panem Markiem pojechaliśmy do hotelu, mieliśmy pokoje niedaleko siebie – kolejne zrządzenie losu! Zjedliśmy razem obiad w hotelu, pożegnałem się z rodakiem i zostałem odwieziony przez pracownika hotelu, o dziwo - za darmo, na lotnisko.

Na lotnisku doświadczyłem stresującej sytuacji – podczas nadawania bagażu dowiedziałem się, że powinienem mieć bilet wylotowy z Indonezji, a ja miałem tylko z Singapuru - szybko jednak wyjaśniłem pracownikowi moją sytuację transferową na przyszłość i spokojnie udałem się w kierunku sali odlotów do Dżakarty.







### Zdjęcia 173-174

Podsumowując mój pobyt w Brunei i zderzając opinie, z którymi zapoznawałem się w sieci z tym, co mnie tutaj zastało. Szczerze stwierdzam, że można spokojnie zaplanować sobie na pobyt tutaj trzy dni – jeden poświęcić na stolicę, drugi na wyjazd do niesamowitego Ulu Temburong National Park, natomiast trzeci na wyprawę do lasu mangrowego i podziwianie nosaczy oraz, ewentualnie, wyjazd do Seri.

Brunei jest bardzo ciekawym krajem, który wyraźnie próbuje gonić Singapur, choć może mieć problem ze ściągnięciem międzynarodowego biznesu. Kraj jest świetnie skomunikowany i utrzymany w czystości, boryka się jednak z niskimi płacami i bezrobociem. W przypadku wyczerpania zasobów ropy naftowej, bądź wahnięć na rynkach, jeśli kraj się nie zdywersyfikuje źródeł dochodu, skończy się to katastrofą dla Brunejczyków.

Uważam, że naprawdę warto zrobić krótki przystanek w Brunei i móc podziwiać piękno tego małego, zielonego i czystego kraju.